Cena 80 mk.

№ 11. Warszawa, 11 marca 1922. Rok III.

TYDZIEŃ POLSKI

STARE GRZECHY.

Z powodu bolesnej i upokarzającej historji z aktem przyłączenia Wilna do Polski, p. B. K. w „Kurjerze Warszawskim“ wyraził nadzieję, że „lada chwila opinja publiczna opatrzy się całkowicie i pojmie w całej pełni, jakiem głupstwem było wywołanie przesilenia rządowego, ponieważ każdy obywatel zaczyna sobie liczyć dokładnie *ile płaci codziennie z własnej kieszeni za to przesilenie*, ponieważ, słowem polacy stają się z czasem nareszcie mądrzy, chociaż z reguły po szkodzie. Nadchodzi dzień sądu publicznego“ („Kurjer War.“ № 66).

Niestety p. B. K., zdaje się, zbyt optymistycznie zapatruje się na nasze życie polityczne.

Nasza opinja publiczna jest zbyt cierpliwą i pobłażliwą lub obojętną, jeżeli nie karci w najostrzejszy sposób sprawców ciągłych przesileń, za które obywatel płaci z własnej kieszeni, a które z Polski robią pośmiewisko w oczach świata.

„Obywatel zaczyna sobie liczyć dokładnie, ile płaci codziennie z własnej kieszeni za to przesilenie”... Tak, ale przecież już dawno dokładnie zliczono, ile lat niewoli kosztowały narodowi polskiemu te same metody w polityce, które dziś wywołują ciągłe przesilenia: warcholstwo jednych, upór i lekkomyślność drugich, nieudolność trzecich.

Patrząc na bieg naszego życia politycznego, widząc rozmaite dotkliwe braki w organizacji państwowej i ciężkie błędy w polityce zewnętrznej i wewnętrznej, pocieszamy się myślą, że przecie w młodem, dopiero powstającem do życia państwie nie może nie być braków, błędów i omyłek, że nie mamy doświadczenia, metod wyrobionych i ludzi odpowiednich, że musimy uczyć się dopiero. Wszystko to słusznem jest i mogło by rozwiać nasze obawy, gdyby nie to, że w tym chaosie naszego życia państwowego, ujawniają się nietylko przypadkowe omyłki, nietylko brak doświadczenia. który się łatwo tłomaczy i da się usunąć, ale właśnie te zasadnicze narodowe wady polityczne, które zatruwały życie polskie w 18 w. i do zguby kraj doprowadziły. I wówczas się rodzą smutne myśli, że nawet po szkodzie nie stajemy się mądrzy, że nawet ta ciężka szkoła, przez którą przeszliśmy, niczego nas nie nauczyła.

Więc cóż mamy robić? Czy opuścić ręce w rozpaczy i przepowiadać nową katastrofę, do której idziemy?

Nie, bynajmniej! Należy zwalczać zakorzenione głęboko wady nasze, wady narodowe, nałogi, przyzwyczajenia meto działania, które są źródłem naszych rozterek w życiu wewnętrznem i niepowodzeń w polityce zewnętrznej. Ażeby zwalczać je z powodzeniem, trzeba przedewszystkiem uświadomić sobie nasze błędy.

I oto powstaje pytanie, czy nie miała zasadniczo racji i czy nie przynosiła wielkiej korzyści narodowi krakowska szkoła historyczna, wykazując nasze błędy polityczne i nasze wady narodowe, które nas do upadku doprowa-

dziły. Szkoła ta, która w niektórych swoich wywodach być może zbyt daleko zaszła, wywołała, jako rekcję, inną tendencję: — tendencję usprawiedliwiania się z narodowych nieszczęść i przypisywania wszystkiego nieszczęśliwemu zbiegowi wypadków, fatalnemu położeniu geograficznemu i złej woli sąsiadów. (Jak gdyby był taki naród na świecie, któryby miał tylko dobrych sąsiadów, nie czychających na jego zgubę, jak gdyby mądrość polityczna nie polegała na umiejętności przystosowywać się do po łożenia geograficznego i przewidywać wypadki!)

Ten ostatni kierunek zwyciężył w naszej historjografji i stał się popularnym śród czytelników.

Nowe życie państwowe rozpoczęliśmy w przeświadczeniu, że żadnych błędów nie popełniliśmy, że byliśmy tylko ofiarą złej woli innych, że cały świat wobec nas zawinił, a teraz powinien swoją winę naprawić, powinien dbać i troszczyć się o nas.

Z takim przekonaniem występując na arenę międzynarodową jako nowe państwo samodzielne, potrafiliśmy wszystkich zrazić do siebie i w ciągu trzech lat, stracić u świata wszystkie te sympatje z jakiemi witano nasz powrót do życia niezależnego.

Nad tem warto znów zastanowić się dziś po tej nieszczęsnej aferze wileńskiej, która doprowadziła do upokarzającej interwencji obcej.

Posłowie Entente'y oświadczyli naszemu ministrowi spraw zagranicznych, że zatwierdzenie przez Sejm Rzeczypospolitej prostej annexji Ziemi Wileńskiej wywoła „jak najgorsze wrażenie".

Jak najgorsze wrażenie w całej tej sprawie Polska już wywołała w świecie właśnie przez to, że nie potrafiła przeprowadzić tej sprawy bez waśni, bez skandalu, bez przesilenia, zgodnie z wolą ogromnej większości narodu i z zachowaniem tych form, które były nakazane przez wzgląd na to, że sprawa wileńska już weszła przedtem na teren międzynarodowy za zgodą rządu polskiego.

Że chodziło tu tylko o formę widać to i z oświadczenia posłów Entente'y, którego prawdopodobnie i nie byłoby, gdyby sprawa przeszła gładko.

Teraz zaś, zlikwidowawszy tą sprawę, należy nie poszczególnych winowajców tego skandalu wywlekać, lecz sięgnąć głębiej do źródła, z którego płyną te skandale.

Czas już, aby cierpliwa opinja publiczna straciła już swoją cierpliwość i przłożyła kres tym skandalom, które rujnują państwo polskie i kompromitują nas w oczach całego świata.

Kiedyż przyjdzie „dzień sądu publicznego"?

POWOJENNY ANTYWITALIZM.

W ostatniem swem opublikowanem dziele, w książce introdukcyjnej o „Spirytualnej energji" [1]) Henryk Bergson uwydatnił jeszcze silniej, niż w rzeczach poprzednich, ów charakterystyczny punkt swej filozofji, który we wspaniałej perspektywie myślowego rzutu różniczkuje materję i inercję w stosunku do życia i twórczego pędu ewolucji życiowej, — inteligencję i „poznanie intelektualne" w stosunku do prawdziwej siły twórczej, poznania drogą intuitu, drogą „doświadczenia wewnętrznego", świadomości nie zaś wiedzy, *conscience* nie zaś *science*. Inteligencja i poznanie intelektualne rodzą się z ewolucji witalnej, która właśnie jest wieczną kreacją i siłą kreacyjną, jest źródłem uniwersalnem, skąd wytryskują wciąż nowe formy realności. Inteligencja i poznanie intelektualne stanowią więc, jeśli je myślowo wydzielić i ująć w oderwaniu, coś w rodzaju zatrzymania pośród wciąż płynnego potoku życia, podobnie jak cały świat mechaniczny i świat materji przestrzennej. Inteligencja i poznanie intelektualne będą zdolne do zrozumienia świata geometrycznego i kwantytatywnego, świata „czystych wielkości", nie będą w żadnym razie zdolne same przez się do zgłębienia życia jako takiego, z jednej strony dlatego, że operują kategorjami myślenia ograniczonemi i nawskroś specjalnemi, z drugiej strony dzięki temu, że — przypomina Bergson — „część nie może ogarnąć całości, z której wypłynęła". Narzędziem poznania życia będzie *intuitum* i *experientia* w szerokiem pragmatystycznem tego słowa znaczeniu. Prawdziwą siłą życiową i życiotwórczą — dodaje Bergson w najnowszych już swych rozwinięciach — będzie spirytualna energja, budząca ruch z inercji, oswobodzająca siły nagromadzone i potencjalne. „Przypuśćmy, że w pewnych momentach, w pewnych punktach — obrazuje Bergson w „L'Energie spirituelle" — materja wykazuje pewną elastyczność. Tam właśnie umieści się świadomość. Początkowo maleńka, później, gdy już miejsce to będzie zajęte, rozpręży się i skończy na tem, że uzyska wszystko".

Ewolucja twórcza będzie ożywianiem materji przez ducha i jednocześnie wyswobodzaniem się, potężnieniem, tryumfem wreszcie aktywności spirytualnej i wolnej nad inercją inorganiczną, prawom konieczności podporządkowaną. Materja inorganiczna jest sama w sobie inercją, przestrzenią i koniecznością. Wraz z życiem występuje ruch nieobliczalny i wolny, ponieważ istota żyjąca wybiera lub przynajmniej dąży do wybierania i funkcją jej jest tworzenie. Dwiema więc krańcowemi formami egzystencji będą materjalność (materialité) i świadomość (conscience), konieczność z jednej strony, wolność z drugiej. W praktycznych konkluzjach antywitalną będzie dążność do bezczynu, stagnacji, schopenhauerow-

[1]) *Henri Bergson — L'Energie spirituelle* (Essais et conférences) Paris, Alcan 1919.

Rewolucja rosyjska i niepodległość Polski.

I.

Legenda o interwencji angielskiej.

Prof. Stanisław Kutrzeba w artykule „Rosja wobec Polski w czasie wielkiej wojny” w № 4 *Przeglądu Warszawskiego* zastanawia się nad genezą manifestu rosyjskiego rządu tymczasowego z dnia 30 marca 1917 r., proklamującego niepodległość Polski.

Wychodząc z założenia, że akt ten nie wyszedł ze spontanicznej inicjatywy rządu tymczasowego, a jednocześnie twierdząc, że polskie koła nie wiedziały o przygotowaniu tego aktu, prof. Stanisław Kutrzeba widzi się zmuszonym szukać genezy rosyjskiego manifestu we wpływach z zagranicy pochodzących.

Idąc w tym kierunku, prof. Kutrzeba znalazł, jak się mu zdaje, rozwiązanie zagadki w opowieści Dillona w książce *Konferencja pokojowa w Paryżu* o interwencji angielskiej w tej sprawie na skutek starań przedstawicieli polskich w Londynie [1]. Balfour w marcu 1917 r. miał dwukrotnie telegrafować do ambasadora angielskiego w Piotrogrodzie Buchanana, aby zażądał od nowego rządu rosyjskiego uznania niepodległości Polski. „Buchanan wywiązał się z zadania doskonale — opowiada Dillon. — Milukow uległ i wydał odezwę”.

[1]) Takież same wyjaśnienie genezy aktu 30 marca podaje prof. Kutrzeba i w książce „Polska Odrodzona”.

Opowieść angielskiego pisarza polski historyk przyjmuje, prawda, ostrożnie, ze wszelkiemi zastrzeżeniami.

— „Czy jednak można, — zapytuje, — całą opowieść Dillona bezpiecznie przyjąć jako wiarogodną? W dziele jego, tak interesującem, dużo jest wiadomości autentycznych, ale też wiele plotek, tych „*on dit*”, jak to często bywa w pracach dziennikarzy, przywykłych do pośpiesznej, efektownej roboty, niedość jednak krytycznie sprawdzających swoje źródła”.

Nie chcąc jednakże wyrzec się hypotezy, która wyjaśnia zagadkę genezy aktu 30 marca, prof. Kutrzeba szuka jej potwierdzenia w książce p. Stanisława Kozickiego: *Sprawa granic Polski na konferencji pokojowej w Paryżu*. „Podaje p. Kozicki wiadomość, iż w sprawie niepodległości Polski złożył p. Dmowski „*Pro memoria*” ministrowi Balfourowi w marcu 1917 r. na audjencji u tegoż już po wybuchu rosyjskiej rewolucji. P. Kozicki przytacza ten memorjał i dodaje nadto wiadomość, zgodną z wiadomościami Dillona, że Balfour zwrócił się telegraficznie do ambasadora angielskiego w Petersburgu Buchanana z odpowiedniemi instrukcjami wywarcia nacisku na rząd rosyjski”.

I tu wszakże ostrożność historyka nakazuje prof. Kutrzebie zaznaczyć pewne wątpliwości: „Książka p. Kozickiego jest późniejszą, niż praca Dillona; może powstać wątpliwość, czy autor podaje tę wiadomość o interwencji angielskiej na podstawie bezpośrednich wiadomości, czy już nie korzysta z tego, co mówi Dillon”.

---

ska czy bramańska rezygnacja woli, witalistycznym — woluntaryzm, heroizm aktywności, wola życia, energja spirytualna jako rozpęd wiecznego przełamywania, narzucania i tworzenia.

Wnioski te, — praktyczne w następstwie początkowych teoretycznych i zasadniczych rozwinięć — dał Bergson w książce, która, wprawdzie, po wojnie, ukazała się w druku, lecz której szkice poszczególne bądź w przeddzień, bądź to w czasie wielkiej światowej zawieruchy były spisywane. Ostatnie lata przedwojenne stanowiły istotnie okres tryumfalny dla witalistycznego, heroicznego na świat i życie poglądu. Powieść, poezja, filozofja, sztuka sławiły, rzec można, jednogłośnie czyn twórczy i bohaterski, wolę życia pełnego jako najwyższe imperatywy i najwyższe dobro. Po śmierci Nietzsche doczekał się apoteozy, jakiej może żaden z myślicieli nigdy nie posiadał. W Anglji Wells i Kippling, we Włoszech d'Annunzio, we Francji cały szereg niezliczony pisarzy i literatów, począwszy już od Bourget'a i Brunetière'a, hołdowali fanatycznie, choć każdy na swój sposób, heroistycznym ideałom. Marinetti ze swym futurystycznym manifestem prepotencji za wszelką cenę był szczytowym, paradoksalnym wyrazem nastroju. Nacjonalizm, militaryzm, imperjalizm, *effervescence*, *sfrenatezza*, *strenuos life* były typowemi, choć oczywiście już nawskroś chorobliwemi, przerostowemi przejawami.

Wojna przyniosła katastrofę i przyniosła nagłą, krańcową reakcję. Reakcja ta, w Polsce znana li-tylko dzięki p. Rabindranath Tagore, i to jeszcze ujmowanemu przeważnie z przeróżnych innych stron myślowej jego działalności, na Zachodzie zaprzątą już nad wszelki wyraz poważnie uwagę kulturalnego ogółu i ukazuje się jako zjawisko, którego w żaden sposób lekceważyć i w żaden sposób pominąć nie można.

Równocześnie z książką Bergsona o „spirytualnej energji“ ukazały się książki inne, właśnie bergsonowską teorję „woli twórczej nadewszystko“ bardzo gwałtownie, bardzo radykalnie zwalczające, — książki, które świetny autor „Evolution créatrice“ w zapowiedzianem na najbliższy czas metodycznem już dziele o duchowym energetyzmie będzie musiał z pewnością bardzo pilnie wziąć pod uwagę.

Niemiec Simmel i Włoch Silvio Pagani ukazują się dziś jako naczelni filozoficzni apostołowie koncepcji i światopoglądu antywitalistycznego. Simmel daje już trzecie wydanie swej w roku 1919 opublikowanej książki „Philosophische kultur“, Silvio Pagani występuje również z nowemi edycjami swej bezpośrednio powojennej „Introduzione alla filosofia dell'antivita“. Obaj opierają się na przedwojennych jeszcze rzeczach Lalanda, ewolucji przeciwstawiającego „dyssolucję“, i Henryka Marconi, komentatora procesów „naturalnej inwolucji“. Sekunduje im z oddali syn nirwanistycznej Azji, p. Rabindranath Tagore, chociażby w swej znanej i u nas, zdecydowanej, gwałtownej krytyce nacjonalizmu, przyczem — zaznaczyć

„Przypuszczać jednak trzeba, mówi w dalszym ciągu prof. Kutrzeba, — że pewną jest wiadomość o zetknięciu się p. Dmowskiego z Balfourem; zupełnie pewną rzeczą jest wręczenie memorjału. Wielka to szkoda jednak, iż p. Kozicki nie podał daty audjencji i złożenia memorjału, od tego bowiem zależy, czy można ustalać bezpośredni związek przyczynowy między tymi faktami: audjencją, memorjałem, notami angielskiemi i aktem z 30 marca".

Gdyby związek przyczynowy, o którym mówi prof. Kutrzeba, można było ustalić, to z pewnością p. Kozicki nie zaniedbałby tego uczynić, ale cała rzecz w tem, że związku tego w żaden sposób nie da się ustalić: między memorjałem p. Dmowskiego, wręczonym Balfourowi, a manifestem rosyjskiego rządu tymczasowego niema żadnego związku, nietylko dlatego, że w memorjale,—jeżeli to ma być ten memorjał, który wydrukował p. Kozicki — aczkolwiek wręczonym w marcu 1917 r., lecz widocznie pisanym jeszcze przed rewolucją, ani słowa niema o potrzebie deklaracji tymczasowego rządu rosyjskiego, a mówi się natomiast, że „obecnie w rozstrzygnięcie przyszłości Polski przez Rosję nie wierzy w Polsce nikt, a w Rosji drobna jedynie mniejszość", ale dlatego przedewszystkiem, że noty angielskie, o których opowiada Dillon i które mają być ogniwem w łańcuchu przyczynowym między memorjałem Dmowskiego a aktem 30 marca, — nie istniały.

Opowieść Dillona wywołała już dawno kategoryczne zaprzeczenie Milukowa, o czem świadczy list otwarty T. Rodiczewa do prof. Askenazego, wydrukowany w 1920 r. w „Tygodniu Polskim" w № 20, z dnia 29-go sierpnia. Rodiczew pisał w tym liście, że po rozmowie z prof. Askenazym, który mu pierwszy zakomunikował wersję Dillona o interwencji angielskiej w proklamowaniu niepodległości Polski, zwrócił się do ks. Lwowa (prezesa Rządu Tymczasowego) i Milukowa z prośbą o wyświetlenie tej sprawy.

„Ks. Lwow, pisze p. Rodiczew, kategorycznie zaprzeczał istnieniu jakiejkolwiek interwencji Buchanana. „Nie pamiętam szczegółowo, jak to było—mówił ks. Lwow—ale dobrze wiem, że rząd ogłosił niepodległość Polski — sua sponte. Wynikało to z całego biegu zdarzeń, przyszło wszystkim jednocześnie do głowy, było tak samo naturalne, jak proklamowanie równouprawnienia wszystkich narodowości, zniesienia ograniczeń dla żydów"... „Milukow opowiada dalej Rodiczew przysłał mi do Warszawy osobny list z upoważnieniem do ogłoszenia go w pismach. Milukow bardzo stanowczo odrzuca prawdziwość twierdzeń Dillona. Nie Buchanan — Milukowowi, a Milukow — Buchananowi zakomunikował o akcie Rządu Tymczasowego. Buchanan niczego nie domagał się, a poprostu przyjął do wiadomości"...

Czy tak było, jak opowiada p. Milukow? Wątpliwość co do tego byłaby wówczas tylko uzasadnioną, gdyby istniały jakie fakty przeczące jego słowom, gdyby, naprzykład, co innego twierdzili Balfour lub Buchanan, którzy przecie nie mają żadnego powodu dla ukrywania angielskiej inicjatywy w proklamowaniu niepodległości Polski.

---

wypada mimochodem — „nacjonalizmem" jest dla p. Rabindranath Tagore także i każdy patrjotyzm.

Dla antywitalistów dzisiejszych życie, pojęte, jako aktywność, jest nie tylko irracjonalne, co stwierdza także i Bergson, lecz również, i nadewszystko, — „immoralne". Już w swych najpierwszych formach elementarnych życie zaznacza się jako proces absorblacji, jako akt najbardziej typowej — powiedzielibyśmy dziś — zachłanności. Element materji staje się ośrodkiem atrakcji elementów sąsiednich, uskuteczniamej drogą procesów absorbacji i assymilacji materji innych. Życiowy zarodek dąży do utrzymania się, do wzrostu i do rozmnażania szkodą i pognębieniem elementów innych. Takim jest podkład i taką jest istota aktywności. W dalszym rozwoju, w życiu etyczno-socjalnem ów proces witalny upostaciowuje się jako nadużycie, wyzysk, zachłanność, ucisk. Stąd walka klas, konflikty jednostkowe, rasowe, plemienne, narodowe, zachłanności ekonomiczne i militarne, wojny i wszystko, co z temi kategorjami przejawów się łączy.

Poza życiem, poza życiem — ruchem, życiem — akcją, życiem — ewolutywną twórczością, życiem heroicznem, a więc, dla antywitalistów, życiem — tyranją, życiem — brutalizmem, staje rozum ludzki, *logos* starogreckiej, racjo współczesnej naszej filozofji, to, co właśnie dla Bergsona jest negatywem i tendencją, którą zwalczać należy: dążność do nieruchomości, do zatrzymania, do zcalenia, nie działanie i twórczość aktywna w następstwie wczucia się i świadomości witalnej, lecz odseparowanie się i kontemplacja intelektualnego poznania, zerwanie z aktywnością życia zbrodniczego i spokój w spekulatywnej myśli.

Antywitaliści oświadczają solennie, że moment, w którym ta rola odseparowania się i doskonałej nirwany racjonalistycznej bezwzględnie zatryumfuje, z czasem nadejdzie i nadejść musi. Historyczno-apokaliptyczna część koncepcji p. Silvio Pagani będzie z pewnością bardzo ciekawa i zastanawiająca i dla tych, którzy niekoniecznie takie właśnie, jak p. Silvio Pagani, zechcą wyciągnąć z niej wnioski. Cykl historji — stwierdza włoski myśliciel—biegnie w odwrotnym kierunku, niźli rotatywny ruch naszego globu; jest to jakowaś „tajemnicza „antikinezis" rotatywności ziemi, która obok innych organizmó w pcha istoty ludzkie ku przemieszczaniu się, indywidualnie i kolektywnie, od Wschodu ku Zachodowi w kierunku przeciwnym ziemskiemu obrotowi". Kolebką cywilizacji jest Azja, później wschodnie pobrzeża Śródziemnego Morza Młodość jest w Europie i tutaj pierwsze prawdziwie potężne i prawdziwie katastrofalne przejawy witalistycznego rozpętania. Teorje nadczłowieczeństwa przechodzą w naturalny konieczny sposób w teorje nadnarodów. Wojna współczesna i wszystkie katastrofy, które po niej już następują i nastąpią jeszcze, uwydatniają się jako konieczne z kolei wyniki heroistycznych tendencji. Lecz to—z melancholją stwierdza p. Pagani — nic jeszcze nie pomoże, niczego nie nauczy.

Prof. Kutrzeba kończy swój artykuł uwagą, że „kiedyś, gdy noty rządu angielskiego będą znane w całości, gdy zostaną oświetlone przedtem odbyte narady angielskie, będzie można dopiero dokładnie ustalić, jakie względy skłoniły Anglję do interwencji i o ile na jej decyzję wpłynęły te rozumowania, które rozwijał memorjał p. Dmowskiego".

Otóż co się tyczy not rządu angielskiego do rządu rosyjskiego w czasie wojny, to można powiedzieć, że one są już znane w całości, bo bolszewicy po przewrocie listopadowym ogłosili tajną korespondencję dyplomatyczną rządu rosyjskiego z aljantami z czasów wielkiej wojny (zarówno noty rosyjskie jak i noty aljanckie).[1] Z tego źródła pochodzi i tekst powyższej instrukcji Sazonowa do Izwolskiego (ambasadora rosyjskiego w Paryżu) z dnia 9 marca 1916 r., którą cytuje w swym artykule prof. Kutrzeba. Żadnej jednak korespondencji poufnej między rządem angielskim, a tymczasowym rządem rosyjskim w sprawie proklamowania niepodległości Polski nie okazało się i trudno przypuszczać, że to już bolszewicy nie chcieli ogłosić dokumentu, który pozbawiał pewnej aureoli obalony rząd tymczasowy, wykazując że proklamując niepodległość Polski, działał nie z dobrej woli lecz pod naciskiem obcego rządu. Do tego dodać jeszcze należy, że nota, którą rząd angielski odpowiedział na zakomunikowanie mu odezwy rządu tymczasowego do Polaków, ubocznie potwierdza słowa Milukowa, że Buchanan niczego nie żądał od niego a tylko przyjął do wiadomości odezwę, już po fakcie dokonanym.

Nota angielska wyraża rządowi rosyjskiemu „gorącę sympatję, z jaką rząd Wielkiej Brytanji odnosi się do szlachetnego wystąpienia Rosji". „Rząd Wielkiej Brytanji jest szczęśliwy mogąc oświadczyć, że w zupełności przyłącza się do uznania zasad niepodległości i zjednoczenia Polski. Urzeczywistnienia tych zasad, zdaniem rządu angielskiego, staje się możliwem dzięki liberalnemu i pełnemi mądrości państwowej, oświadczenie Rządu Tymczasowego. Teraz Wielka Brytanja gotowa jest dołożyć wszelkich starań dla osiągnięcia tego celu w ścisłej zgodzie z Rosją".

I tyle. Czy można przypuścić, że rząd angielski tak natarczywie domagał się natychmiastowej deklaracji od rządu rosyjskiego tylko po to, aby odpowiedzieć na nią powyższą notą, nie zawierającą nic po nad kurtuazję wobec Rosji i nieokreślane obietnice pod adresem Polski.? W jakim celu mógłby rząd angielski wymagać od Rosji w marcu 1917 r. natychmiastowego uznania niepodległości Polski? Tylko w tym celu, aby dla pokrzyżowania niemieckiej roboty w Polsce ogłosić w porozumieniu z aljantem w imieniu całej Ententy utworzenie niepodległego i zjednoczonego Państwa Polskiego, jako jednego z celów wojny i warunków pokoju. W tym jednakże momencie wojny, kiedy pewności pełnego zwycięstwa nad Niemcami nie było, Anglja podjąć się takiego zobowiązania i złożyć takie oświadczenie nie chciała

[1]) Dokumenty te w wydaniu sowieckiego Komisarjatu do Spraw Zagranicznych wychodziły zeszytami w latach 1917—1918.

Następny etap cyklu, który już dziś wyraźnie się zapowiada, rozegra się w Ameryce. Tam ludzie przeżyją epokę największego, najbardziej wyolbrzymiałego rozpędu „woli życia" i po niej— epokę najtragiczniejszych, najpotworniejszych już załamań. Ludzkość stanie u progu najpierwszej swej kolebki, „tajemnicza antikinezis" pchnie ją wreszcie, oczyszczoną już teraz i dojrzałą do zrozumienia mądrości, z powrotem w głębiny pierwotnej ojczyzny, w krainę myśli czystej, kontemplacyjnej ekstazy, w krainę nirwany i „nieczynienia", w krainę Buddy i Bramanów. Krąg kolisty dziejowego cyklu zamknie się, otworzy się epoka szczęśliwości czystej i stałej, gdy już nie trzeba będzie oddawać się, ani dawać się uwodzić i upodlać problemom życiowego pędu, życiowego rozwoju i życiowego tworzenia, czy też, jak woli p. Silvio Pagani, — życiowego wszechrozboju.

Czy owa epoka czystej i stałej szczęśliwości będzie wogóle mozliwa, skoro — jak sam włoski myśliciel zaświadcza — życiowy cykl naówczas już się zamknie, — rozwiania tej wątpliwości w „Introduzione alla filosofja dell'antivita" nigdzie nie znajdujemy. Nie jest to jednak oczywiście w koncepcji punkt zasadniczy i też specjalnie na tym punkcie antywitalistycznych myślicieli „szykanować" stanowczo nie wypada. Krytyka bergsonizmu, witalizmu i woluntaryzmu, specyficzny pogląd na życie i na stosunek życia do „rozumu"— oto dopiero bezsprzecznie najciekawsze momenty w teorjach p. p. Simmla i Paganiego, opartych na założeniach bardzo poważnie i starannie przemyślanych u Lalanda czy Marconiego. Jak już nadmieniono, sam Henryk Bergson prawdopodobnie dopiero w przyszłości zareplikuje na kontroargumenty, jakie mu przeciwstawiono. Jednakże dziś już antywitalizmem najmłodszych myślicieli zajął się filozof bardzo poważny i bardzo wybitny, choć w Polsce najdoszczętniej w mgle tych przelicznych rzeczy, o których się nie wie i wiedzieć nie chce, tonący, filozof, który ma za sobą cały szereg dzieł pierwszorzędnych i uznanie powszechne świata współczesnej myśli, — prof. Aleksander Chiappeli, przed wojną jeszcze za niepoślednie w najgłębszej z nauk zasługi w poczet senatorów przez włoskiego monarchę zaliczony. P. Aleksander Chiappelli, bardzo bliski nie tyle może Bergsonowi, ile amerykańskim neo-pragmatystom, hołduje koncepcji w wielkim stopniu oryginalnej i syntetyzującej, którą możnaby najsłusznjej bodaj „panwitalizmem" zamianować. W świetle konkluzji tej właśnie koncepcji poddał ostatnio p. Chiappelli starannej krytyce doktryny antywitalistów. Wydaje się, że niezupełnie może byłoby niewłaściwem zarówno owemu „panwitalizmowi", jak i owej krytyce kilka choćby najpobieżniejszych słów i chwilę choćby najprzelotniejszej uwagi oddzielnie już przy sposobności poświęcić.

Tadeusz Erowski.

Dlatego memorjał podany w marcu 1917 r. Balfourowi przez p. Dmowskiego, który właśnie to miał na celu (postawienie przez Koalicję sprawy utworzenia Państwa Polskiego), skutku nie odniósł.

Wobec tego wszystkiego opowieść Dillona o interwencji angielskiej należy uważać za jedną z tych plotek dziennikarskich, osnutych na „*on dit*”, których, jak słusznie zaznacza prof. Kutrzeba, nie mało w książce znakomitego publicysty.

Jeżeli hypotezę angielskiej interwencji wypada odrzucić, a o żadnej innej interwencji nie wiemy, to nie pozostaje nic innego, jak poszukać genezy odezwy do Polaków pierwszego rządu rewolucyjnego rosyjskiego w tem, co poprzedziło ten akt w Rosji: w nastrojach, jakie wytworzyła rewolucja w społeczeństwie rosyjskiem i w bezpośrednich stosunkach polsko-rosyjskich.

Od tego właściwie i powinien byłby zacząć historyk, badający pochodzenie rosyjskiej odezwy do Polaków, i już po tem dopiero, gdyby okazało się, że akt ten nie wypływa z rozwoju wypadków, wywołanych przez rewolucję rosyjską, — wówczas dopiero należało szukać genezy tego aktu poza granicami Rosji.

Prof. Kutrzeba poszedł inną drogą, ponieważ obrał za punkt wyjścia dwie zupełnie mylne, jak zobaczymy dalej, niezgodne z faktami tezy: 1) że rząd tymczasowy wydał odezwę nie z własnej inicjatywy, a nawet wbrew swojej woli; 2) że Polacy w Rosji do tego aktu nie przyczynili się. Pierwszą tezę stwierdza prof. Kutrzeba, jako aksjomat nie wymagający wcale faktycznych dowodów, drugą opiera na jednym tylko fakcie, że posłowie polscy do Dumy nie wiedzieli o przygotowaniu aktu i wręczyli 29 marca, to jest wówczas, kiedy akt był sporządzony i podpisany (na drugi dzień 30-go był już bowiem wydrukowany w pismach) ks. Lwowowi memorjał, który wykazywał konieczność, aby rząd rosyjski zajął stanowisko wobec kwestji polskiej.

Że grupa posłów polskich do Dumy, nie mająca stosunków z temi kołami rosyjskiemi, które rewolucja wysunęła na pierwszy plan, o przygotowaniu aktu nie wiedziała, na przyśpieszenie jego nie wpłynęła i wogóle stała zdala od wydarzeń w marcu 1917 r., jest to zupełnie zrozumiałem, ale przecież społeczeństwo polskie w Rosji nie redukowało się do grupy posłów do 4-ej Dumy, byli inni działacze i inne ugrupowania, których nie można ominąć w historji stosunków polsko-rosyjskich, związanych z genezą aktu 30 marca.

To, że prof. Kutrzeba tak łatwo przyjął za aksjomat nieomal tezę bardzo wątpliwą, tłomaczy się po części tem, że Rosja rewolucji marcowej, ta Rosja wolna, która choć niedługo, ale istniała w przerwie między dwoma despotyzmami: caratem i bolszewizmem, jest u nas *terra incognita*, a wraz z nią nieznanem jest i bogate życie kolonji polskich w Rosji w tym okresie między upadkiem caratu i przewrotem bolszewickim. Ta Rosja wraz z życiem polskiem w niej, była odciętą od Polski kordonem niemieckim. Polska rozstała się z Rosją carską, której wojska, cofając się, paliły wsie polskie, Polska spotkała się ponownie z Rosją bolszewicką, której hordy szły znowu na polską ziemię niszcząc i paląc. Uchodźtwo nasze z kraju szło do Rosji carskiej, wracało do kraju już po przewrocie listopadowym, który swemi okropnościami zatarł wspomnienia o pierwszej wolnościowej i bezkrwawej rewolucji. Została pamięć o okrutnej zimie caratu i o krwawem lipkiem jesiennem błocie bolszewizmu, zapomniano o wiośnie, która, jak „piękna mara senna“, przeszła przez życie rosyjskie.

Manifest, proklamujący niepodległą Polskę był jednym z tych kwiatów, które z bajeczną szybkością zakwitły na glebie rosyjskiej zoranej przez pierwszą rewolucję wiosenną a które, ścięte listopadowym przewrotem i jednej zimy nie przetrwały, lecz wszakże, choć krótko, istniały.

Nasienie tego kwiatu nie z Londynu w 1917 r. zaniesiono do Rosji.

Oddawna — lepsze umysły rosyjskie rzucały te nasiona na ziemią ojczystą, lecz grunt do siewu nie był przygotowany.

Dopiero z rewolucją marcową nadeszła chwila, kiedy nasienie w ziemię rzucone wydało kwiat, który wszystkie swe barwy i te, które są miłe nam i te, które nas rażą nieprzyjemnie, zawdzięcza glebie, na której wyrósł i chwili w której zakwitał.

Akt 30-marca nosi na sobie tak wyraźne cechy nastrojów inteligencji rosyjskiej, którą rewolucja postawiła u steru rządu, rozbudziwszy w niej jednocześnie i szczery entuzjazm wolnościowy i wielką dumę narodową i nadzieje zwycięskiego zakończenia wojny,—że nie może być mowy o narzuconym lub zapożyczonym z zewnątrz charakterze tego aktu.

Wykaże to historja jego, do której przystępujemy.

(*D. c. n.*). ***Leon Kozłowski.***

Sowiety a Japonja.

(Dokończenie).

Mówiłem dotychczas o możności otwartego wystąpienia Japonji przeciwko Rosji — z przyczyn, korzenie których tkwią w *prawie międzynarodowem*.

Są poza tem jednak przyczyny bezwzględne, życiowe, że tak powiem, ordynarne, ale właśnie dlatego najwięcej odczuwane przez szerokie warstwy ludności Japonji i mające charakter imperatywny dla jej rządu.

Otóż wszyscy czytelnicy w Polsce, spodziewam się, wiedzą, że kraina Wschodzącego Słońca jest to zaiste cudowny, przepiękny kraj, ale jej mieszkańcom już oddawna braknie powietrza, czyli, poprostu mówiąc, nie wszyscy mieszkańcy tego kraju mają miejsce dla siedziby w swojej ojczyźnie i pokarm niezbędny dla istnienia na tych malowniczych wyspach.

Z każdym ubiegłym rokiem, zbliżającym się do czasów współczesnych, ten fatalny „brak

powietrza" dawał się odczuwać Japończykom w formie coraz ostrzejszej i ostrzejszej.

Emigracja, która rozpoczęła się od lat kilkudziesięciu — przez Atlantyk i Pacyfik — rosła w progresji arytmetycznej, póki nie wywołała wyników ujemnych dla Japonji, obrażających jednocześnie jej dumę nacjonalno-państwową i bijących po najwięcej bolących żywotnych stronach jej ustroju ekonomiczno-socjalnego.

Wielka Brytanja oddawna wzbraniała imigracji „żółtej rasy" do swoich kolonji, później stopniowo Ameryka Północna i Południowa zrobiły to samo, a Rosja Carska, ostrzegając Europę przed „żółtem niebezpieczeństwem" i mając olbrzymie przestrzenie w Azji, zupełnie niezużytkowane i prawie niezaludnione, przygotowywała kroki wstępne do „okupacji" Korei — tej przedhistorycznej, legendarnej kolebki Japonji.

Są to, powtarzam, fakty wszystkim dobrze znane, o których nie potrzebuję tu mówić dłużej. Przytoczę natomiast parę cyfr z ostatniej statystyki — statystyki *japońskiej*, przeprowadzonej naukowo, bardzo skrupulatnie i ogłoszonej na cały świat kulturalny.

Według tej statystyki (z r. 1916-go), ludność Japonji — mianowicie Archipelagu Japońskiego wraz z Koreą — wynosi *czterdzieści dziewięć* miljonów, a nadmiar ludności (t. zw. surplus) rocznie, od lat 7—8, zwiększa się o *jeden miljon*, t. j. teraz wynosi $^1/_6$—$^1/_7$ części całej ludności Japonji, czyli *do siedmiu miljonów*.

Proszę łaskawego czytelnika wsłuchać się poważnie w brzmienie tej niemej cyfry: *do siedmiu miljonów już* tych, których nie może wykarmić ziemia ojczysta, a *w perspektywie* co rok o miljon więcej!

Naród na ogół bardzo moralny (w naszem, chrześcijańskiem nawet znaczeniu tego słowa), trzeźwy, nadzwyczaj pracowity, którego zasadą życiową jest przysłowie: — „Ari no omoi mo temmadé todokú" (pilna praca mrówki sięga nawet niebios), nie ma miejsca i pokarmu w kraju ojczystym i jest pozbawiony prawa szukać pracy w krajach obcych.

A tuż obok leżą — nie, nie leżą, a gniją (excusez le mot) całe obszary ziemi, niezaludnionej i niezużytkowanej.

Czyż to, zaiste, nie oburzająca, krzycząca głosem wielkim a donioslym niesprawiedliwość?!

Ale wystrzegam się mówić więcej o tej kwestji, jako zjaponizowany Polak. Może bardziej przekonywującym będzie głos nie Polaka, a *Amerykanina*, *Yankesa czystej krwi* i wybitnego przedstawiciela nauki, p. George Bronson Rea, który w tylko co wydanej (wobec niedawnej konferencji w Waszyngtonie) książeczce, pod tytułem „Le droit du Japon a l'existence", rozstrzyga kwestję japońską w sposób decydujący, i zawsze oparty na faktach realnych i podstawach naukowych.

Między innemi mówi on [1]) (str. 31, rozdział, przyjemnie brzmiący dla ucha polskiego: „Quo vadis?"):

[1]) Podaję w tłom. francusk. *Przyp. Aut.*

„Il y a une alternative. Le Japon peut désarmer tous ses critiques et garder ses nationaux. Il peut employer toutes ses richesses inoccupées à défricher les flancs de ses montagnes et à les transformer en pâturages pour ses troupeaux de moutons et de chèvres [1]). Son annuel million de nouveaux Japonais peut être absorbé par l'établissement de nouvelles industries. Il peut fabriquer des draps avec la laine de moutons élevés dans des prairies au sommet de ses collines. Il peut garder dans le pays chaque son de son capital, développer ses industries et trouver du travail pour son annuel surplus de population. Mais le Japon doit manger. Il doit vendre les produits de ses fabriques et de ses manufactures pour se procurer l'argent nécessaire à l'achat de ses approvisionnements en vivres. Il lui faudra une très importante marine marchande pour exporter ses produits et importer les denrées dont il aura besoin. Il lui faudra une flotte de guerre puissante pour la défendre. D'une part, il deviendra l'Allemagne orientale, l'hereux concurrent commercial suscitant des antipathies et des jalousies amères, d'autre part il se dévellopera comme une Angleterre asiatique, une puissance maritime dont l'existence, même dépendre de la possession de la première flotte de guerre du monde.

La guerre commerciale est à peine commencée, et pourtant nous entendons, de tous les coins du globe, monter contre le Japon le même cri, les mêmes arguments, les mêmes accusations semeuses de haine qui ont si bien réussi à créer l'hostilité de tous contre l'Allemagne.

Privé d'un débouché en Amérique, en Australie et en Afrique, arrêté à chaque pas en Asie, le Japon s'efforce courageusement de se conformer aux idées occidentales et de se dévelloper commercialement. Et, de loin comme de près, nous entendons le rauque hurlement des bandes de loups prêtes à entrer en chasse.

Le Japon ne pourra suivre que deux routes. Il lui faut s'étendre en Asie ou passer l'Océan [2]). *Le chemin de l'Asie mène inévitablement* au contrôle économique de la Mandchourie et de la Mongolie orientale et á un mandat sur un État tampon a'créer entre ces territoires et la Russie. Or, pour des raisons sentimentales et par sympathie pour la démocratie russe, il semble que l'administration de M. Wilson est opposée à cette solution. Il semble aussi qu'il n'est jamais venu à l'esprit des conseillers du président que leur politique ne peut avoir qu'un résultat, c'est-à-dire forcer les Japonais à s'etendre au delà des mers, ce qui créerait de nouveaux points de contact entre les États-Unis et le Japon. Par la coopération, les associations et les accords commerciaux, les dangers de conflits en ces points de contact seraient sans doute(?) éliminés au bout d'un certain tem

[1]) I Japonja, mogę dodać od siebie, już to r raczej zrobiła. Wprawdzie, hodowli owiec i kóz jes nie rozpoczęto, ale w Hokkaido, t. j. północnej c Japonji, zaczęto np. uprawę żyta. Niestety, i tego *Prz. Aut.*

[2]) Podkreślanie moje. *Przyp. Aut.*

et il en résulterait un respect mutuel pour l'attitude et les points de vue de chacun [1]). *Pourtant la meilleure solution immédiate est celle qui aiderait à l'expansion économique du Japon dans l'Asie orientale...*

I nareszcie dalej (str. 35):

„La solution la plus pratique de cet inquiétant probléme semble devoir se trouver dans un accord harmonieux entre la Chine et le Japon, accord basé sur une division du territoire disputé et une commune responsabilité concernant la conservation des territoires nécessaires à l'expansion des deux pays".

Co mam dodać do tych przekonywujących słów amerykańskiego uczonego?

Bardzo mało.

Mógłbym li tylko uzupełnić jego lapidarne dowody *ad rationem* kilkoma szczegółami, których byłem naocznym świadkiem w Japonji podczas wojny wszechświatowej.

Otóż w przeciągu 4 lat tej okrutnej wojny, kiedy w Europie cywilizowanej niszczono i rabowano wszystko, co się nadawało zniszczyć i zrabować, Japończycy budowali i gromadzili bogactwa. Pracowali tak, jak tylko umieją pracować w „barbarzyńskiej" Azji—cały dzień i noc.

I wynikiem tej pracy jest fakt, stwierdzony przez wybitnych ekonomistów japońskich, iż rynek azjatycki dla japońskiego handlu i przemysłu teraz nie wystarcza, i Japonja volens-nolens musi przerzucić swoje towary i wyroby na rynek europejski.

Lecz w jaki sposób przerzucić — that is the question...

Albowiem Japonja od lat już 4—5, mianowicie z ustaleniem rządu sowieckiego, jest pozbawioną transsyberyjskiej kolei żelaznej, t. j. istotnie pozbawiona płuc.

Dość zaznaczyć, że od Władywostoku do Petersburga podróż koleją trwała 14 dni, a teraz najbystrzejsze parostatki „Nippon Jusen Kwaisha" odbywają podróż z Jokohamy do New Castle'a (przez San Francisco) zaledwie w ciągu *czterdziestu dwuch* dni!...

Niech się nad znaczeniem tego porównania zastanowią nasi ekonomiści i powiedzą, czy nie znajduje się Japonja w stanie rzeczywiście fatalnym.

Jak ona wyjdzie z tego stanu?

Par force czy par amour?

Jest to właśnie to pytanie, od którego ja zacząłem swój artykuł i które pozostawiam na końcu otwartem.

Wiem dokładnie jedno, iż żaden naród na świecie, może, nie lubi *życia* namiętniej, jak japoński, ale gdy trzeba umierać, to umiera też tak, że zadziwia wszystkie narody.

I jeszcze: nikt nie szanuje pokoju tak, jak Japonja, ale kiedy nadchodzi chwila działania w inny sposób, to — działa...

H. Kuretsuki.

---

[1]) Co do tego „pokojowego" rozwiązania zatargu pomiędzy Japonją a Ameryką na tle obustronnej konkurencji, zdanie p. Rea wydaje mi się osobiście cokolwiek optymistycznem. *Przyp. Aut.*

HANDEL Z ROSJĄ

I PRZEBUDOWA PRZEMYSŁU.

II.

Z rozważań powyższych bynajmniej nie wynika, że zupełnie nie możemy liczyć na własne znaczniejsze obroty handlowe z Rosją i wykorzystanie naszego względnie wygodnego położenia tranzytowego. Chodziło mi tylko o to, żeby przesadnie optymistyczne nadzieje związane z tem tranzytowem położeniem sprowadzić do właściwej i dobrze przewidywanej miary. Pewne i dość znaczne korzyści z handlu z Rosją mieć będziemy szczególniej na początku, póki jej handel zagraniczny nie jest zorganizowany. Rosja jest bowiem tak ogołocona z towarów, że nawet nasz przemysł włóknisty, może właśnie z powodu znacznej ceny jego wyrobów w stosunku do ich wagi i objętości—może liczyć przynajmniej w okresie przejściowym na znaczny zbyt w Rosji pomimo droższej kalkulacji i innych względów wyżej omówionych.

Ale w widokach na przyszłość, licząc się z warunkami politycznemi zupełnie zmienionemi, musimy radykalnie też przebudować nasz ustrój gospodarczy, a przemysł w szczególności.

Musimy więc ten przemysł tak nadal rozbudowywać i przebudowywać, aby odpowiadał następującym palącym potrzebom:

1) Siła wytwórczości jego poszczególnych gałęzi powinna odpowiadać przedewszystkiem pojemności i potrzebom rynku wewnętrznego, oraz tych najbliższych rynków zagranicznych, które, jak rumuński, turecki, węgierski, jugosłowiański, a nawet czeski, nie będą ze względów politycznych bojkotowały naszych towarów.

2) Musimy rozbudować te niedorozwinięte gałęzie przemysłu, które bądźto służą bezpośrednio pomocą największemu warsztatowi polskiej pracy — rolnictwu, bądź to, opierając się właśnie na rolnictwie, a więc na rodzimych surowcach, mają widoki rozwoju i bezpieczeństwa przy wszelkich konstelacjach politycznych. Gałęziami temi są: fabryki nawozów sztucznych i maszyn rolniczych, cukrownie, gorzelnie, krochmalarnie, browary it.p.; z przemysłu włóknistego godzien jest szczególnego poparcia tylko przemysł lniany, oparty też na surowcu rodzimym.

3) Rozbudować musimy i odpowiednio terytorjalnie rozmieścić ten przemysł, który, bądź to pośrednio, jak fabryki parowozów i wagonów oraz samochodów i samolotów, służy bezpieczeństwu państwa, bądź to służy temu bezpieczeństwu bezpośrednio: fabryki broni i amunicji. Brak tych fabryk więcej może, niż wadliwa gospodarka finansowa oraz przedwczesne i niesharmonizowane z rozwojem ekonomicznym reformy społeczne i ekonomiczne, podrywa zaufanie w trwałość państwa, które byt swój opiera na imporcie zagranicznej broni i amunicji — imporcie, który w każdej chwili przerwanym być może, jak to mieliśmy przykład w tragicznych dniach lipcowych i sierpniowych roku 1920, gdy dowóz amunicji i broni do Polski był uzależniony nie tylko od rachub politycznych Anglji, Francji, Włoch i Belgji, lecz

i od obałamuconych agitacją socjalistyczną robotników tych krajów.

4) Wreszcie za wszelką cenę musimy utrzymać przynajmniej na poziomie dotychczasowym ten przemysł wydobywczy:

1) Kopalnie węgla, 2) soli, 3) ropy, 4) rudy wszelkiego rodzaju, oraz przetwórczy wytop surowca i stali, którego upadek pociągnąłby za sobą nie tylko skutki społeczne i polityczne wyżej omówione, lecz i niemożliwość odbudowy i przebudowy naszego narodowego gospodarstwa.

Pamiętać też należy, że Niemcy w rokowaniach górnośląskich zrzekli się oznaczonego kontyngentu węgla dla siebie. Będziemy mogli węglem górnośląskim rozporządzać się prawie dowolnie. Operując cyframi jego produkcji przedwojennej[1]) i licząc się z wewnętrznem spożyciem również w skali przedwojennej, będziemy mieli na eksport samego węgla 10.000.000 tonn, do czego potrzeba będzie około 75.000 wagonów i wiele, wiele nowych dróg żelaznych i kanałów.

Czy je mamy, lub czy je w najbliższym czasie mieć będziemy, czy jesteśmy do walki konkurencyjnej na rynkach południowych i wschodnich dostatecznie przygotowani, czy posiadamy dostateczną ilość mostów, dróg żelaznych, taboru kolejowego, linji telefonicznych, telegraficznych, a nawet radjotelegraficznych i t. p., bez których handel ze wschodem jest niemożliwy.

Niech na to pytanie odpowiedzą czynniki, które skreślają wszelkie nawet najpotrzebniejsze kredyty inwestycyjne, dając je i to w stopniu niedostatecznym—jedynie na konserwację... chyba pustyni, bo taką jest Polska szczególniej we wschodnich jej dzielnicach po 4 letniej niszczycielskiej wojnie światowej i dwuletniej wojnie z bolszewikami.

Pustynię tę mogłaby szybko i skutecznie użyźnić praca robotnika polskiego i twórczo zapłodnić myśl inżyniera i technika polskiego, którzy, pracując czy to w Ameryce, czy to w Westfalji, zyskują zasłużone pochwały i uznanie, jako pracownicy bardzo zdolni, pracowici i obowiązkowi oraz świetni organizatorzy.

W Polsce inżynierowie i robotnicy nie mają co robić, ponieważ dla oszczędności nie robi się najniezbędniejszych inwestycji, zamyka się fabryki, jednocześnie deklamując o próżniactwie robotników i żyłce spekulacyjnej inżynierów polskich.

Czyż można się dziwić, że wobec polityki oszczędnościowej wyżej scharakteryzowanej, wobec braku szkół i oświaty, wobec drogiej książki i gazety, wobec braku pracy, przedewszystkiem robotnik polski staje się pastwą zwyrodniałej agitacji bolszewickiej, bujnie zazwyczaj rozplenionej tam, gdzie w sąsiedztwie rozpasania bogatych spekulantów walutowych i towarowych gnieździ się ciemnota i nędza niższych warstw ludowych.

Zdrowa, z przyszłością i rozwojem gospodarczym państwa licząca się polityka finansowa nie szuka źródeł dochodu i oszczędności w skreślaniu sum potrzebnych na najniezbędniejszej potrzeby kraju — dochody te znaleźć się powinny w postaci odpowiednio wysokich i do siły płatniczej poszczególnych grup i osób dostosowanych podatków.

Taką właśnie politykę prowadzą Czesi, którzy, posiadając już 4 razy gęstszą, niż nasza, sieć kolejową, świeżo poświęcili 250 miljardów mk. polskich na nowe koleje państwowe, pokrywając tę sumę z kieszeni podatników — obywateli, których na ten cel obłożono pożyczką przymusową.

Ale Czesi i Niemcy nie deklamują o handlu z Rosją — oni do tego handlu się walnie przygotowują, uzbrajając się w tym celu w nowoczesne środki światowej walki konkurencyjnej, bez których nawet najkorzystniejsze położenie geograficzne jest tylko... szkodliwą, bo czujność naszą i energję usypiającą fikcją.

Inż. Aleksander Ringman.

[1]) Produkcji całej Polski.

Wybory a związki zawodowe.

„Kurjer Warszawski“ w Nr. 48 w artykule p. t. „W sprawie przyszłych wyborów“ rzucił ciekawą myśl, która przeszła bez odgłosu w innych pismach, a która zasługuje jednakże na uwagę i gruntowniejsze omówienie. Autor wspomnianego artykułu podnosi sprawę udziału w wyborach do Sejmu niepartyjnych zrzeszeń zawodowych i występuje przeciwko monopolowi partji w tej dziedzinie.

Wskazawszy na przykłady samodzielnego udziału poszczególnych warstw społecznych (jak zawodowych związków robotniczych) w życiu politycznem na Zachodzie, autor pisze:

„W naszych stosunkach grają znaczną rolę jeszcze i inne czynniki: kupcy oświadczają, iż gdyby w ciałach przedstawicielskich posiadali należytą liczbę własnych przedstawicieli, wówczas sprawy handlu byłyby należycie uregulowane i bronione.

Właściciele nieruchomości miejskich twierdzą, że gdyby mieli w Radzie Miejskiej i w Sejmie należyte przedstawicielstwo, sprawa mieszkaniowa nie doszłaby do tak katastrofalnego położenia.

Urzędnicy są głęboko przekonani, że posiadanie własnych przedstawicieli uchroniłoby część ich kolegów od konieczności manifestowania na ulicy ich nędznego uposażenia.

Tym i innym wywodom poszczególnych warstw naszego społeczeństwa niepodobna odmówić słuszności, tem bardziej, że ich kandydaci występowaliby nietylko w interesach swoich wyborców, ale łączyliby się również przy obronie wspólnych interesów narodowych i państwowych.

Pogląd ten zresztą głęboko zakorzenił się w umysłach naszego społeczeństwa, które zamiast polityków zawodowych, pragnie mieć przedstawicieli i obrońców zjednoczonych haseł wspólnego dobra poszczególnych warstw i całego państwa“.

Być może, istotnie zrzeszenia zawodowe niepartyjne wykażą więcej troski o wspólne dobro, niż nasze partje, które w walce zaciekłej zapominają o interesie całego państwa.

Do sprawy tej powrócimy na łamach „Tygodnia“.

LITERATURA I SZTUKA.

MIRIAM A IMPERJALIZM ARTYSTYCZNY.

„U POETÓW“. Przekłady z poezji francuskiej, belgijskiej i włoskiej XIX wieku. Warszawa. 1921. Wyd. J. Mortkowicza. Str. 334 w 12-ce.

Upływa niebawem czterdzieści lat od chwili ogłoszenia pierwszych prac literackich Miriama a lat trzydzieści od chwili wydania pierwszego zbioru jego poezji. Przypominając te daty, nie mamy zamiaru dzwonić na alarm jubileuszowy. Pamiętamy dobrze, z jakim niesmakiem odwracał się Miriam w „Chimerze“ od „śmiesznej i smutnej zarazem karykatury wielkich uniesień i porywów“ jubileuszowych; jak uprzytomniał wszystkim, którymby w przyszłości proponowano uczczenie jubileuszowe owe przyjacielskie „naganki forsowne, opieki protekcjonalne, inscenizacje sztuczne“. Chodzi nam o co innego. Pragniemy, z okazji wydania pierwszej serji długo oczekiwanego zbioru „U poetów” zastanowić się nad jednością postawy, niewzruszoną konsekwencją, jaka cechowała cały dotychczasowy żywot literacki Miriama. Z istoty tej postawy wynikło, że Miriam nie był nigdy dość zadowolony z twórczości własnej; że nie odczuwał potrzeby tłumnego czytelnika, dla któregoby zbierał w książki rozproszone elementy swej sztuki; że, stworzywszy rzecz piękną, nie opiekował się dostatecznie jej losami wydawniczymi; że ze spokojem i wyniosłością przyjmował etykietki pospiesznych sądów krytycznych: „sztuka dla sztuki”, „estetyzm formalny”, „sztuka metafizyczna” i t. p. Wszystkie te określenia dotyczyły poszczególnych momentów stosunku Miriama do sztuki, ale stosunku tego nie wyczerpywały i form jego nie tłomaczyły. Obejmując całe czterdzieści lat sztuki Miriama, łatwo dostrzegamy, że natura jego postawy była znacznie rozleglejsza. Ożywiała ją nieustanna i wielka troska o *świadomy* pierwiastek w twórczości. Zjawisko analizowano na Zachodzie wielokrotnie i określono je cokolwiek dwuznaczną, ale szeroką nazwą *imperjalizmu artystycznego*. „Mistycyzm zasadniczy — pisze jeden z teoretyków zjawiska, — który ożywia wszystkie twory estetyczne i zawiera najszlachetniejsze formy myśli, zdolny jest dostarczyć najszczęśliwszego oparcia dla woli potęgi. Samorzutny pęd ekspansji lirycznej urzeczywistnia cenne możliwości energji, ale tym nie należy pozwalać na zboczenia i wykolejenia, jeżeli się pragnie służyć zdobywczej sprawie Piękna. Sztuka musi być przepojona umysłowością. Nie należy jej pozostawiać całkowicie ślepemu natchnieniu, niepokojowi entuzjazmów i burzom uczuciowym. Niechaj „projekcja słowa” nawet u poetów będzie obliczona, obmyślona, nie zaś rzucana na pastwę burzliwych przypadków pod świadomych impulsów”. W postawie takiej (której Miriam był zawsze wierny) istnieją dwa równoległe dążenia: zapewnienie pierwszego, naczelnego miejsca mistycyzmowi twórczemu, jednocześnie zaś przyjmowanie od inteligencji metody realizacji, przyjmowanie niezawodnego przewodnika w wyborze sposobów ekspresji.

Ale w postawie tej istnieje niebezpieczeństwo pogodzenia sprzeczności: z jednej strony rozważne obmyślanie najodpowiedniejszej „projekcji słownej”, z drugiej — pilna rezerwa wobec wzruszenia własnego. Niema wątpliwości, że wielka sztuka nie znosi oporu przeciw twórczym wybuchom. Imperjalistyczna wola potęgi objawiła się w Miriamie dość wcześnie w nadmiernej nieufności do tworzenia własnego i płomiennego poszukiwania najświetniejszych, najdoskonalszych dzieł *cudzych*, które począł przetwarzać w sobie. Wybrał się na długą, dziesiątki lat trwającą, wędrówkę po wszystkich kulturach artystycznych świata, aby twórczo przeżywać cudze natchnienia. W ten sposób usunięta została niewola wyrazu wobec wzruszenia bezpośredniego, to jest tego wzruszenia, z którego dane dzieło powstało, a przyszło wzruszenie wtórne, to, które przyniosła arcydzielna doskonałość utworu.

Wyrosło u nas z tego powodu znaczne nieporozumienie. *Przekłady* miriamowskie traktowano całkowicie jako zwyczajne, — lepsze lub gorsze — podanie cudzej twórczości. Nie zwrócono uwagi, że te same metody *twórczego* przeżywania mamy w miriamowskich przekładach Zeyera, Maeterlincka, Rimbauda i studjach nad nimi, co w jego *odkryciach* Norwida i przebogatych do niego glossarjuszach genetyczno-krytycznych; te same racje twórczego uwielbienia dla Leonarda da Vinci, Gustawa Moreau, Burne Jonesa, Beardsley'a, Rossettiego, Odilona Redona, Hiroshige i Hokusai, co twórcza opieka nad dziełami Mehoffera, Dębickiego, Tichego, Stanisławskiego; te same, chociaż mniej jeszcze doskonałe w formie sposoby odtwarzania obcych poetów w *Życiu* warszawskiem, co w całokształcie studjów, przekładów, rozpraw estetycznych *Chimery*; te same wreszcie metody w kierownictwie Minister um Sztuki, gdzie obok gromadzenia dzieł własnych, wybranych twórców-plastyków, istniało oburzające cały „ogół” dążenie do ogarnięcia sztuką wszystkich dziedzin życia, poza wszelką możliwość fizyczną i moralną społeczeństwa pół-analfabetycznego, żyjącego w przeważającej mierze obcą strawą estetyczną.

Z postawy tej wynikły niektóre wyraźne konsekwencje. Przedewszystkiem — skrupuł najwyższej doskonałości formy, a stąd niedostateczna wiara we własne siły twórcze. Następnie — świadome, niejako celowe osamotnienie Miriama, żyjącego dumnie w olbrzymiem imperjum wszechświatowej sztuki, spożywającego jej owoce i podającego w skąpych, dalekich odstępach polskie transpozycje tych owoców. Z osamotnienia wynikło życie poza czasem, terminem i wszelką szarą koniecznością, a stąd ginęła nagłość potrzeby utrwalania książkowego swych przeżyć wewnętrznych. Miriam dla garści wielbicieli był i jest wyrocznią estetyczną; dla reszty — był i pozo-

stał mytem. Istnienie wyjątkowo niezależne dało mu wolność od wszelkiego kompromisu, który czyha na każdego artystę spętanego przez życie i jego codzienne objawy. Dopiero kilkoletnia konstrukcja Ministerjum Sztuki odsłoniła mu bliskie dale, w których czaił się kompromis: konieczność operowania żywym materjałem ludzkim, zamiast wyniosłej teorji estetycznej, wyrażającej imperjalistyczną wolę całkowitego podboju, przekonała go, że twórczej organizacji życia artystycznego nie zbudują właśnie tacy *papierowi* ludzie, jak Porębowicz i Wyrzykowski i że do doskonałości artystycznego czynu w społeczeństwie wiedzie niekiedy fatalna, straszliwymi kolcami najeżona droga tysięcznych załamań i poronionych, bo trądem ustępstw zarażonych prób.

Niewątpliwie z bliższego zetknięcia się z życiem powstał w Miriamie moment potrzeby zbierania całości swej pracy twórczej. Niezadługo realizować się pocznie jego monumentalne wydanie Wrońskiego, nad którym pracował przez dziesiątki łat, aż wreszcie Akademja powierzyła mu zadanie całkowitego ujawnienia genjuszu wielkiego filozofa w odrodzonej Polsce. Obecnie rozpoczęło się zbieranie w cykle i całości własnych prac poetyckich, rozproszonych lub w manuskryptach przechowywanych.

Przekłady?... Nie wierzymy w możność istotnych *przekładów* wzruszeń poetyckich. Od wskazania Horacego „nec verbum verbo curabis reddere fidus interpres" aż do dni naszych, dyskusja nad istotą „dobrych tłomaczeń" nie przestaje być nową. Przed stu dwudziestu laty książę Jenerał Ziem Podolskich, w swych świetnych „Myślach o pismach polskich" rzucił zdanie, że „język każdy ma w składzie swoim wyrazy i słowa, których siła, wybitność, miłodźwięk, żadnym sposobem przeprowadzonemi w jakikolwiek inny język być nie mogą". Twierdzenie to nie straciło swej siły przekonywającej. Każda estetyczna synteza wrażenia, to jest każdy fakt ekspresji, stanowi zupełnie odrębną jednostkę, niepodobną do innej, zależną od nieskończonej rozmaitości życia. Każda treść wrażenia ma swoją *własną, jedyną* formę wyrazu. To co raz zyskało swą formę estetyczną nie może być sprowadzone do innej formy estetycznej. „Tłomacz albo zmniejsza i psuje wyraz a wtedy pozostaje tylko wyraz oryginału, albo też tworzy nowy wyraz a wówczas znajdą się dwa wyrazy formy o dwóch odrębnych treściach" (B. Croce). Będą tu niewątpliwie istniały podobieństwa organiczne, takie same, jakie zachodzą pomiędzy jednostkami, pokrewieństwa pokrewnych dusz artystycznych. Niemożliwą jest reprodukcja tego samego wyrazu oryginalnego, ale możliwem jest stworzenie wyrazu podobnego, zbliżonego. „Dobre tłomaczenie" ma więc przedewszystkiem wartość *oryginalną*, niezależną i tylko taka jego wartość może być przedmiotem zainteresowania i rozważania.

Przekłady Miriama są wogóle twórczością poetycką na cudze tematy. Nie było w nich zamierzeń autologicznych. „Nie praca to była celowa, — pisze Miriam w słowie wstępnem — lecz rozkosz tak rozmiłowanego, upojnego obcowania z utworem, który duszę uderzył, że wreszcie rodził się on (niekiedy niespodzianie) już naszym, już polskim". Jeżeli, pomimo wszystko, całość ułożyła się w pewną antologję, wynik to imperjalistycznego wszechogarniania przez Miriama zjawisk poetyckich i jego wrażliwości na różne tony twórcze. Z poezji francuskiej (najmocniej pobudzającej twórczość Miriama) otrzymujemy cały wiek różnorodnych melodji, od romantyzmu do symbolizmu, od Lamartine'a i de Vigny'ego do A. Gide'a i P. Claudela. Przechodzimy całą gamę wyrazu poetyckiego, od potężnych, gromowładnych metafor do słodkiej gędźby, tkliwej, cichutkiej kantyleny; od zimnej, marmurowej posągowości do żalącego się wszystkiemi tęsknotami liryzmu; od mistrzowskiego opisu parnasistów do filozoficznej i mistycznej zadumy Maeterlincka. Wydane niegdyś w drobnej ilości egzemplarzy i doszczętnie wyczerpane „Erynnie" Leconte de Lisle'a weszły do zbioru w całości. Mniej liczni Belgowie i Włosi przynieśli Miriamowi każdy inną pobudkę twórczą, doskonaląc niesłychanie narzędzia jego pieśni. Sprawność tego narzędzia wywołuje największy podziw. Miriam zapewnia, że radby „usunąć w książce nazwisko swoje i nazwiska tłomaczonych poetów, aby pozostała rzecz sama: poezja". Gdyby to marzenie mogło być spełnione, wynik wrażenia byłby zupełnie niespodziany, ale istotny dla całego zbioru: zamiast zapowiedzianych 36 poetów francuskich, belgijskich i włoskich ukazałoby się jedno oblicze poetyckie, zdolne do nieskończonej ilości przekształtów wyrazu; ukazałby się w całej postaci poeta, który olbrzymią wrażliwość i bezpośredniość wzruszenia sprzedał za wolę potęgi, za moc twórczego *posiadania* w sobie najlepszych dzieł wszystkich poetów świata...

Jan Lorentowicz.

BAJECZKI.

1. OWCA I WILK.

Wszystko się dziś na świecie przekształca i zmienia,
Po wojnie.
Dawniejsze owieczki
Pozwalały się zjadać wilkom bogobojnie,
Dziś zaś, co się zrobiło z owczego plemienia,
Widać z tej bajeczki.
. . . .

Wilk i owca raz pili z jednego strumienia.
Wilk stał niżej, ta wyżej. Po haustach kilku
Rzecze owca: — Hej, wodę mącisz mi, ty wilku!
— Jako żywo,—wilk prychnął:—to śmiech, jako żywo!
Przecież ty wyżej pijesz, i owszem napitek
Do mnie płynie, zmącony, z pod twoich kopytek.
— A dlaczegoś ty gwarą swoją obelżywą
Na mnie wymyślał latoś, przed świętym Michałem?
— Ja? — żachnął się wilk: — Ależ ja jeszcze nie
[kochałem...

To jest... nie znałem ciebie wówczas...
— Więc ja kłamię?
Wymyślałeś — powiadam — nie mnie, to mej mamie.
— Nie jadam mam...
— Tak? To się z córką poznajomij!
I tu owieczka wilka pac po fizjonomji.

. . . .

Morał: jeśli, panienko, spotkasz wilka w lesie,
Uczyń jak ta owieczka, rzecz nie skończy źle się.

2. KRUK I LIS.

Dziś naiwnych niema zwierzy.
Kruk z kawałkiem w dziobie sera
Siadł na sośnie. Wtem lis bieży.
Zwęszył... W górę więc spoziera
I rzecze: — Jak się masz, kruku!
Kruk nic. — Piękna dziś pogoda...
Kruk nic. — Z tobą mówić szkoda.
No, odezwij się, ty mruku!
Kruk nic, milczy jak zaklęty.
Więc lis znowu: — Któż bo nie wie,
Że celujesz, kruku, w śpiewie,
Że masz talent nad talenty...
Kruk nic. — Własnemi uszyma
Nie dalej, jak dziś, słyszałem,
Że twój głos porywa szałem...
Kruk nic. A ser w dziobie trzyma.
— Za swój tenor, wszyscy wiemy,
Bierzesz honorarja grube.
Zanuć że mi coś na próbę...
Kruk nic. Zamknął dziób, jak niemy.
— Czyżby w tobie dar ten wygasł?
Toć przy gardle twem słowiczem
Jest pono Gruszczyński niczem,
Niczem Dobosz, niczem Dygas...
Kruk nic. A ser trzyma w dziobie.
— To fakt — to fakt bez dysputy:
Reszkom tobie czyścić buty,
Obaj kpami są przy tobie!
Kruk nic. — Roździaw, mistrzu, usta,
Sypnij na las trylów kwiaty:
Arję z „Halki“, coś z „Traviaty“,
Z „Trubadura“, czy z „Fausta“...
Kruk zjadł ser i rzekł: — Mój lisie,
Że mam głos, świat nie myli się.
I że nie wziąłbym Dygasa,
Lub Reszkego za fagasa,
To wiadomo. Lecz, mem zdaniem,
Źle jest śpiewać przed śniadaniem.
Teraz, gdym już spożył serek,
Zaśpiewam ci arji szereg.
Znaj, co to głos bez felera.
Mówisz, z „Halki“ ci wyjątek?
Dobrze. Słuchaj, śpiewa Jontek:
„Szumią jodły ná gór szczycie“...
— Dosyć, żeby cię cholera!
Zgrzytnął lis i — czy wierzycie:
Śpiew mu zbrzydł na całe życie.

Jan Lemański.

KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

⊛ **Konkurs na kilimy.** Towarzystwo „Kilim polski“ przy współudziale Ministerstwa Kultury i Sztuki ogłosiło konkurs na kilimy.

Wystawa nadesłanych projektów otwartą została w Zachęcie i dowodzi, jak mało inwencji i pomysłowości wnieśli artyści do zdobnictwa kilimów. Wszystko to już było, powielekroć powtórzono to, co znacznie silniej i znacznie umiejętniej wyraziła sztuka zdobnicza całego świata.

Rozdzielanie nagród odbywało się pod znakiem „ukulturalnienia“ polskiego kilimkarstwa. Nagrodzono więc prace „spokojne, rozważne“, które wypaczają charakter polskiego kilimu i w miejsce radosnych tkanin stwarzają posępną i smutną jak jesień kulturę.

Rozdzielanie nagród nie decyduje zawsze o wartości nagrodzonego dzieła, w każdym jednak razie wskazuje na stopień wymagań artystycznych. Inne dzieła nagrodzą Ojcowie Trapiści a inne pani Kokoszewiczowa, właścicielka magazynu z kapeluszami, co innego zaś podobać się będzie diwie baletowej z Radomia. Tak zawsze było i zawsze będzie, nie można więc winić sędziów konkursowych, że podobały się im właśnie takie dzieła, które świadczą raczej o skłonnościach reprodukcyjnych, niż twórczych.

Wszystkie niemal nadesłane prace, z małemi tylko wyjątkami, stoją na poziomie więcej lub mniej udanych reprodukcji, lub oględniej się wyrażając „wpływów“ i świadczą o zanikaniu instynktu zdobniczego nietylko u starszych artystów, ale wśród najmłodszego pokolenia.

Taka droga prowadzi do upadku, nie zaś do rozkwitu.

Na poziom wystawy oddziałała w wysokim stopniu metoda nauczania w szkołach przemysłu artystycznego.

Pedagogowie zawinili w pierwszym rzędzie, że konkurs na kilimy, przy takiem bogactwie prac nadesłanych, jest pod względem artystycznym smutnym przykładem braku twórczości. Nie chodzi już w tym wypadku o tę lub ową pracę lub pracownię, ale o całokształt nauki, która, jak wynika z wystawionych projektów, ograniczała się do ukazywania uczniom źródeł, skąd mogą czerpać i kopjować dowoli, zamiast wzbogacać zdobnictwo swą własną pomysłowością.

Zgoda na to, że przemysł artystyczny jest rzemiosłem swego rodzaju. Różni się zaś tem od wielce cennej sztuki szewskiej, iż w mechaniczną pracę wlewa eliksir upodobań artystycznych i wyobraźni.

Tę wyobraźnię stłumiono dokumentnie, zastępując ją frazesem o kulturze, która z równem powodzeniem zwać by się mogła ciężką i dolegliwą anemją, chorobą ludzi przeżytych.

Zarzuty wypowiedziane z racji „konkursu na kilimy“ dotyczą całej współczesnej produkcji w dziedzinie przemysłu artystycznego.

W ostatnich dwóch latach z szlachetną pasją zabrano się u nas do sztuki zdobniczej. Co kilka domów powstaje nowa pracownia. Tworzą repatrjanci, zdemobilizowani oficerzy, żony zagładzanych urzędników, damy z „high lifu“, ambasadorowe i „ziemianki“. Sztuka stosowana jest najmodniejszem zajęciem Warszawy a w dodatku opłaca się tak doskonale, że nawet w Australji poszukują polskich wyrobów.

Robi kto może — ale jak robi?

W sposób najmniej niebezpieczny — a zawsze bardzo interesujący dla zagranicy, która ma takie pojęcie o naszem zdobnictwie, jak Lloyd George o Śląsku.

Nie można mieć nic przeciwko temu, że przyzwoici ludzie zarabiają w sposób przyzwoity. Ale to, co zupełnie zadowala odbiorcę w Gaudelup, nie może być miarą rozwoju artystycznego i programem artystycznych pracowni, a co więcej jeszcze konkursu, który kreśli linje wytyczne przyszłej twórczości zdobniczej.

⊛ **Wystawa „Młodej Polski“ w Paryżu.** W paryskim dzienniku *l'Eclair* znajdujemy artykuł p. t. „La première exposition du groupe de la Jeune Pologne“, napisany z powodu wystawy naszych artystów w muzeum Crillon. Autor podziwia malowniczość polskiej sztuki dekoracyjnej, zatrzymując uwagę na meblach p. Niny Aleksandrowiczówny, emaljach p. H. Ciechanowskiej, batikach na drzewie i jedwabiu p. A. Teslara, wycinankach p. J. Kwiatkowskiej, zdobieniach porcelany p. J. Chmielińskiego. W dziale rzeźby krytyk pierwsze miejsce przeznacza p. Szczyt-Lednickiej. „Każdy z wystawionych przez nią przedmiotów jest przedewszystkiem dziełem głęboko przemyślonem, niepodobnem do żadnej rzeczy znanej i to właśnie zapewnia sztuce p. Szczyt-Lednickiej cechę wyjątkowej oryginalności i piękna. Ta wielka artystka celuje przedewszystkiem w rzeźbieniu w drzewie a w pracach jej dostrzegamy odrazu talent wspaniały i duszę niezwykłej wrażliwości“. Tuż przy p. Szczyt-Lednickiej stawia krytyk p. Bohdanowiczównę, którą uważa za najwybitniejszą uczennicę Bourdelle'a. Z prac rzeźbiarzy naszych wymienia autor typy ludowe Pugeta, głowę męską A. Cierplikowskiego i utwory F. Blacka. Malarstwo, reprezentowane dość licznie, nie otrzymało szczegółowej oceny. Wymieniwszy: N. Aleksandrowiczównę, Rubczaka, Brandla, Z. Piramowiczównę, Halicką, Ordyńską-Morawską, Grosa, krytyk pisze: „Wszyscy ci artyści, zaaklimatyzowani w Paryżu, ulegają wpływom sztuki francuskiej a niektórzy z nich, jak Rubczak, Brandel, Halicka, Ordyńska, zdołali pozyskać szacunek u najsurowszych krytyków“. Pozatem wymienia jeszcze autor prace Wąsowicza, Skoczylasa, Fedorowiczówny, Chwistka, Pronaszki oraz studja architektoniczne Noakowskiego. Artykuł kończy się wnioskiem, że „wystawa Młodej Polski przedstawia całość udatną“.

⊛ **Grafika.** Literatura nasza posiada niewiele książek poświęconych grafice polskiej. Rastawieckiego: Słownik rytowników polskich, Pawlikowskiego: Wiadomości o rytownikach polskich i cudzoziemskich u nas osiadłych, Muczkowskiego: Zbiór drzeworytów w różnych dziełach polskich w XVI i XVII wieku odbitych, Kołaczkowskiego: Słownik rytowników polskich — a z nowszych badaczów Rulikowskiego M. Literatura polska lub Polski dotycząca z zakresu grafiki, prócz tego kilka pamiętników wydanych z okazji różnych wystaw i niewiele monografji sztycharzy wyczerpuje niemal zupełnie ubogą literaturę.

O technice graficznej wydał w r. 1909 znany poeta I. Rufer, pierwszą w piśmiennictwie polskiem książkę p. t. „Kwasoryt“.

Po 13 latach od daty ukazania się tego wydawnictwa p. Hieronim Wilder pokusił się o opracowanie książki, którąby wyjaśniała wszystkie metody graficzne, począwszy od najstarszego drzeworytu a skończywszy na mechanicznej reprodukcji.

W pracy tej wiodła go pasja zbieracza, który zdawał sobie dokładnie sprawę, że wiele pierwszorzędnych i bezcennych dzieł sztuki marnuje się bezpowrotnie z powodu zupełnej nieświadomości lub braku zrozumienia dla sztuki graficznej.

Dlatego też badacz i miłośnik nie ograniczył się wyłącznie do spopularyzowania grafiki, do nauczenia tajemnic rytowniczych pracowni, ale rozszerzył swą książkę radami i praktycznemi wskazówkami dla zbieraczy, jak dzieła sztuki graficznej należy konserwować i umiejętnie katalogować.

P. Hier. Wilder, omawiając metody grafiki — zaznajamia nas, że i polscy artyści są wynalazcami na tem polu.

„Prof. Tadeusz Estreicher w r. 1902 zwrócił uwagę Wyczółkowskiemu, Wyspiańskiemu, Ruszczycowi i Laszce, że kwasem fluorowodorowym można wytrawiać płytę szklaną tak, jak kwasem azotowym trawi się metal“.

W ten sposób powstała fluoroforta.

Prof. Ruszczyc i Wyczółkowski zrobili kilka barwnych fluorofort i słusznie uchodzą za wynalazców jednej z metod graficznych.

„P. Feliks Jabłczyński zastosował pierwszy zamiast twardej płyty lub linoleum — ceratę. Ma ona tą właściwość, że przy drukowaniu zgniata się, wypychając z wyrytych zagłębień farbę, przez co ułatwia drukowanie, dając przytem efekty specjalne. Kreski otrzymane w ten nowy sposób na odbitce robią wrażenie kresek trawionych, a rozmaitością swego waloru zadziwiły znawców grafiki, którzy nie domyślając się, w jaki sposób były wydobyte, nie umieli sobie wytłomaczyć ich powstania“.

Szata wydawnicza „Grafiki“ H. Wildera przedstawia się, jak na wyjątkowo trudne obecnie warunki — wprost okazale. Ilustracje staranne. Niewłaściwem jednak było użycie metod mechanicznych dla zademonstrowania techniki drzeworytu japońskiego i „niella“.

SZTUKA PLASTYCZNA WSCHODU.

ORNAMENT.

III.

3. Hellenizm sakijski. Pochodami zdobywczemi Alexandra Wielkiego rozpoczyna się owa nieszczęsna epoka, przenosząca imperjalizm wschodni również i na kraje zachodnie i stawiająca na miejscu niezłożonych rządów współistniejących ze sobą rodów, ludów i miast wolę władania, która teraz, poparta przez Kościół, panuje i wywiera swój wpływ na spokojny i ciągły rozwój ludzkości. Sztuka plastyczna staje się, podobnie jak w Egipcie i w Mezopotamji, coraz bardziej służebnicą tej władzy, musi ją inscenizować. Mija piękna, wielka swoboda poszczególnej indywidualności

artystycznej, jaką świat przeżył w krótkich stuleciach Fidjaszów i Praxytelesów. Dopiero później miasta krajów zachodnich będą się przejściowo starały znów ją wskrzesić. Barok zasadniczo kres jej położył. Aż po dzień dzisiejszy walczą umysły z uciskiem tym, występującym w najróżnorodniejszej postaci, i tęsknią napróżno za zespoleniem, mającem na celu ład i rządy, któreby pozostawiły wolną rękę kulturalnemu rozwojowi poszczególnych części. Może ostatnia wojna przyniesie wraz z innemi skutkami i to wyzwolenie duchowe, być może, że ono jedynie będzie mogło rany przez nią pozostawione zabliźnić.

W sztuce plastycznej Wschodu władza i ucisk duchowy coraz silniej dawały się odczuć. Ornament, służący początkowo skromnym potrzebom zdobnictwa, coraz bardziej służyć musi wszelkiemu przepychowi. Dzieje się to na większą skalę, odkąd i na tem również polu architektura zaczyna przewodzić i odkąd ornament ma służyć do tego, aby zdobić beztreściwe same przez się płaszczyzny ścian z niewypalanych cegieł. Przykłady znajdujemy już na frygijskich fasadach skalnych w rodzaju grobowca Midasa, wykonanego w kamieniu. Jaki pod tym względem przepych stosowano w krajach pomiędzy chińską częścią Turkestanu a krajem dwóch rzek, świadczą z jednej strony nowe odkrycia w Turfanie i Khotanie, z drugiej zaś wykopaliska Samarry. Różnica polega jedynie na tem, że w okolicach indo-chińskich rozwijała się sztuka wyobrażania, podczas gdy w Samarze nad Tygrem postaci ludzkiej brak zupełnie, panuje zaś wyłącznie ornament. Ta szczególna różnica tem bardziej jest uderzająca, iż zarówno nad morzem Śródziemnem, jak i w starożytnych kulturach nad Nilem i w Mezopotamji postać ludzka zajmowała pierwsze miejsce. Nowy ruch, wychodzący ze wschodu i z północy, grozi światu starożytnemu. Do tego wniosku doprowadza nas spostrzeżenie, że, o ile można sądzić ze stosowanych tu ornamentów, pobudkę do tego dały obie grupy, które wyżej omawiałem oddzielnie. Dołączył się tutaj ornament w kształcie liści winnych, powstały w okolicach Pamiru, za przykładem, jak się zdaje, naturalistycznej sztuki indyjskiej, Od czasów Alexandra występuje dodatkowo pierwiastek grecki, który częściej zastępuje geometryczną wić palmetą. Środkowym punktem tego ruchu artystycznego, płynącego z północy i z południa, jak również z okolic koczowniczych, zdaje się być miejsce skrzyżowania wędrówki ludów germańskich i ałtajskich, dawna siedziba Saków, owych Indo-Germanów, którzy, gdy Indowie i Irańczycy przeszli przez Kaukaz na południe, pociągnęli za nimi naokoło morza Kaspijskiego i dali Partom dynastję Arsacydów.

Z połączenia tego zrodził się ornament późnej epoki helleńskiej lub późnej rzymskiej, stosowany na wschodzie w pomnikowych dziełach przez Partów, Sasanidów i Bizantyńczyków. Najwspanialszym okazem nowego mieszanego stylu Azji Mniejszej jest fasada z Mszatty, wykonana zgodnie ze sztuką Partów. Na moje starania przeniesiono ją do Muzeum im. cesarza Fryderyka w Berlinie, chcąc naocznie przekonać świat o znaczeniu tego kierunku sztuki. Rzecz prosta, iż odtworzenie tej ściany, rzeźbionej w kamieniu, na wzór kobierca, nie może wywrzeć takiego wrażenia, jaki sprawia ona w osłonecznionej pustyni Moabu. Widnieje na niej ulubiony motyw ludów koczowniczych, żyjących w namiotach, trójkąty płatów i odpowiednich rozet, przeplatane z greckiemi rynnami szczytowemi z baktryjskiemi liśćmi winnemi i równoczesnem stosowaniem splotów wstęgowych, geometrycznej wici, palmetek i motywów zwierzęcych. Ciekawą jest rzeczą, jak obok wpływów partyjskich, które z początku niemal wyłącznie panują, zjawia się z czasem i sztuka Sasanidów i z kolei na obu wymienionych polach płaszczyzny dochodzi do wyłącznej władzy.

Fasada, o której mówimy, ma czterdzieści metrów długości. Gzyms górny, mocno wysunięty, tworzy bogate zakończenie ornamentu; załamuje się w linję pionową, później zaś w poziomą, przyjmuje zatem zupełnie nie grecki charakter rzeźbionej wstęgi i na tle głęboko wyrytych cieni pokryty jest mnóstwem motywów, zdradzających wyraźną skłonność do układu w kształcie geometrycznych palmetek oraz do przeplatania dwurzędowemi wstęgami. Pod tym górnym gzymsem znajduje się wnęk gzymsowy (sima), biegnący zygzakowato, złożony z wiszących i stojących trójkątów, wypełnionych rozetami. Rozety te odcinają się od tła, nie zawsze wypełnionego ornamentem z liściem winnym. Na niektórych polach przędziwo to jest zaledwie rozpoczęte. Niejednokrotnie spotyka się zadzierzgnięte koła, ulubiony motyw pierwotnego sposobu wypełniania płaszczyzn. Liście winne mają kształt liścia partyjskiego z występującemi perłami, poza tem są tu ptaki i zwierzę z ludzką głową. Na innych polach u dołu pośrodku znajduje się czara, po jej bokach zaś postacie zwierzęce. Z naczynia pną się ku górze owe wici, które w trzeciej odmianie same wyrastają, bez czary. Ornament taki spotykamy w Indjach, a później na wschodnich kobiercach.

Najważniejszych przekształceń doznały te motywy ornamentacyjne, które na początku oddzielnie rozpatrzyłem, a mianowicie wić geometryczna i równie geometryczna plecionka. Z pierwszej rozwija się stopniowo ten ornament, który przywykliśmy nazywać „arabeską”, z drugiej powstaje bogata ornamentyka wieloboków, oparta na matematycznych kombinacjach. Nic więc dziwnego, że w świecie starożytnym spotykamy arabeskę już przed powstaniem islamu. Jako znamienny przykład uważać możemy kościół św. Zofji w Konstantynopolu, a mianowicie głowice i ornamentykę łuków, których datę ściśle oznacza monogram Justynjana. Widzimy, jak ustępują tutaj tektoniczne pierwiastki starożytności, jak mamy tu do czynienia raczej z płaszczyznami, traktowanemi czysto dekoracyjnie. Na samej głowicy wychodzą ze średnich, dwupasiastych kół długie kity, wypełnione motywami arabesek. Dokoła wypukłego monogramu widnieją kity strzępiaste, łuki zaś są wypełnione wzorami spiczasto-owal-

nemi oraz wiciami geometrycznemi we wszelkich odmianach.

Z tych samych założeń, co ornamentyka bizantyjska, wychodzi ornamentyka sztuki romańskiej, muzułmańskiej i słowiańsko-ortodoksyjnej. Na tem miejscu rozpatrzymy jedynie wschodni kierunek.

Prof. Dr. Józef Strzygowski.

O POLSKĄ TWÓRCZOŚĆ MUZYCZNĄ.

Twórczość muzyczna w Polsce znajduje się poza obrębem bieżącego życia artystycznego. O ile pojawienie się dzieła z dziedziny teatru, literatury, malarstwa staje się przedmiotem rozważań krytyki i dyskusji publicznej,—w dziedzinie muzyki *odtwórczość* usunęła na plan ostatni twórczość polską. Na usługach tej odtwórczości znajduje się cała prasa, nie szczędząca miejsca dla omawiań właściwości technicznych wykonawców pianistów, dyrygentów, całej masy sprowadzanych z zagranicy znakomitości. Ta krytyka wprowadza zamęt do pojęć. Nie pozwala na wytworzenie bezpośredniego kontaktu pomiędzy społeczeństwem a polską twórczością. Zdawałoby się, że Filharmonja, dar mecenasów polskich dla sztuki polskiej, powinna byłaby zogniskować wszystkie twórcze elementy muzyczne, dając im możność rozwoju i pole do wypowiadania się.

Działalność Filharmonji, tak nieszczęśliwie poczęta przez Rajchmana, stała się jak gdyby tradycją dotychczas nieprzezwyciężoną nawet w odrodzonej Polsce. Atrakcją każdego koncertu jest zawsze wirtuoz, każdy zaś polski koncert świeci przerażającemi pustkami. Dowodem koncert M. Karłowicza, który powinien był zainteresować sfery artystyczne, a przeminął niemal bez echa. W ostatnich latach pojawiło się w zagranicznych wydawnictwach mnóstwo polskich kompozycji z dziedziny fortepianu, skrzypiec, muzyki kameralnej. Dzieła te są zupełnie u nas nieznane i nie omawiane przez żadnego krytyka. Wobec zachowania się krytyki muzycznej, nic dziwnego, że utwór polski zniknął zupełnie z programów koncertowych, kiedy żaden koncert w polskiej Filharmonji nie powinienby się odbyć bez kompozycji polskiej. Ci sami panowie dyrygenci: Fried, Nedbal, Schalk, tak mile i gościnnie podejmowani w Warszawie, mogliby bez szkody dla powodzenia koncertu, zamiast uwertur z Tanhausera, bez końca powtarzanych dzieł Brahmsa, Wagnera, nawet Mendelsohna w repertuarze swym umieścić dzieło polskiego kompozytora. Miałoby to podwójny cel: popularyzowanie dzieł polskich twórców, następnie poznanie tychże dzieł przez cudzoziemców. Brak zainteresowania dla muzyki polskiej utrwalił w Warszawie pole zbytu i propagandy dla sztuki obcych narodów. Dowodem są nasze niby przyjazne stosunki z Francją, które powinny byłyby znaleźć wyraz w wymianie dzieł sztuki. Tymczasem my znamy wszystkich autorów francuskich; Filharmonja dała cały szereg koncertów poświęconych francuskiej muzyce; p. Henryk Opieński ogłasza trzy koncerty poświęcone muzyce francuskiej.

Ale hołdowniczość nasza dla muzyki francuskiej bynajmniej nie powołuje zainteresowania się Francji nami. Dowodem, że pomimo istnienia wielu francusko-polskich towarzystw, dotychczas ani jeden kapelmistrz francuski nie zadyrygował ani jednym polskim utworem. Co gorsza—na koncercie urządzonym w operze paryskiej na cel polskich repatrjantów nie zagrano ani jednego polskiego utworu. Dochodzi do tego, że za wykonanie dzieła symfonicznego jednego z naszych kompozytorów orkiestra francuska każe sobie płacić. Kiedyż nareszcie ockniemy się z tego bałwochwalstwa, które bynajmniej szacunku dla nas nie stworzy.

Zachowanie się wszystkich przyjezdnych wykonawców wobec twórczości polskiej i kłanianie się prasy przed szablonem ich repertuaru pozbawiło sztukę polską wszelkich praw. Cóżby powiedzieli artyści malarze, gdyby na ich wystawach wystawiali obrazy obcych twórców; cóżby powiedzieli autorzy dramatyczni, gdyby repertuar teatralny stosował się do upodobań poszczególnych aktorów, hołdujących tylko obczyźnie i grających bez końca jedno i to samo? Wielkim błędem Filharmonji jest fakt, że nie zjednała poza dyr. Emilem Młynarskim, który starał się wprowadzać muzykę polską, żadnego dyrygenta.

Artystyczna misja instytucji polega nie na tem, ażeby sprowadzać coraz to innych dyrygentów, tylko na wychowywaniu swoich sił, któreby przez konsekwentną pracę zespół orkiestrowy doprowadziły do doskonałości.

Tak się przynajmniej dzieje na całym świecie.

Sas.

LITERATURA I SZTUKA U OBCYCH.

✱ **Jacques Chardonne: „L'Epithalame".** Autor *Epitalamium* współzawodniczył o nagrodę Akademji Goncourt'ów z p. Réné Marsanem. Na kilka dni przed konkursem wszystkie prawdopodobieństwa przemawiały za kandydaturą Chardonne'a. Był największym faworytem. W ostatniej chwili zaszkodził mu podobno fakt, że jest... wydawcą, mianowicie jednym z współwłaścicieli firmy Stock, w której wydawnictwach ukazała się właśnie jego książka. Pod względem literackim *Epitalamium* posiada niezaprzeczoną wartość. Szkoda tylko, że krocząc śladami Marcelego Proust'a, laureata Goncourt'ów z r. 1919-go (za powieść p. t. *A l'ombre des jeunes filles en fleur*), rozpoczął p. Chardonne swą karjerę pisarską od rzeczy dwutomowej, liczącej 650 stron, notując w niej, z pokrewną również Proust'owi drobiazgowością, bezmiar szczegółów. Bohaterami utworu są Albert Pacaris, syn słynnego adwokata, i Berta Degouy, w początku powieści czternastoletnie zaledwie dziewczątko, które Albert przygotowuje sobie niejako na żonę, podjąwszy w dość szczególny sposób jej edukację uczuciową. Uważa może, że trzeba poznać wszystko, ażeby nie pragnąć niczego, coby mogło mącić w przyszłości spokój domowego ogniska. Prawdopodobnie jednak zaczyna ją wtajemniczać w realności życia bez żadnych określonych planów. Podczas schadzek z nią jest tak przedsiębiorczy, że, pomimo całe w nim zakochanie i ślepą dlań uległość, Berta mówi sobie chwilami, że musi z nim zerwać. Ale są to tylko chwile buntu. Berta poznała z nim całą gamę namiętnych pieszczot. Towarzyszą im, zresztą, nauki moralne Alberta o próżności marzeń

o szczęściu, o potrzebie zastosowywania się do konieczności życiowych. Zdawać by się mogło, że wycofuje się w taki sposób ze swojego z nią stosunku. Bynajmniej jednak. Uważa przeciwnie, że urobił już ją należycie i przygotował do tego, aby nie wymagała zbyt wiele od przyszłego towarzysza życia, którym postanowił zostać sam. Tom pierwszy kończy się ich małżeństwem.

Po tak długich i różnorodnych doświadczeniach, powiedzmy nawet, raczej studjach sentymentalnych, małżonek i szczególny wychowawca Berty chciałby zacząć pracować dla swej karjery i zamknąć się spokojnie w swych zajęciach zawodowych. Ale rozkochana kobieta nie zgadza się na zrezygnowanie z życia upojeń miłosnych, które w jej pojęciu miały dojść w małżeństwie do kulminacyjnego punktu. Albert podniecał w niej głównie zaciekawienia zmysłowe, wyobrażając sobie rzekomo zgoła co innego, a rozbudził miłośnicę zazdrosną o wszystko, co odrywa męża od jej uczucia. Małżeństwo okazuje się dla obojga nieporozumieniem i przeradza w szereg scen, kłótni i sprzeczek, po których przychodzą przemijające, niestety, pogodzenia.

Żona wyrzuca gorzko mężowi, że, urobiwszy ją do miłości, każe jej wegetować w szarej monotonji codziennej powszedniości. Myśli już nawet o wyrwaniu się z niej i tylko przypadkowo poniekąd unika niebezpieczeństwa szukania poza domowem ogniskiem upojeń uczucia, których nie dało jej małżeństwo. Ale w końcu przychodzi uspokojenie. Albert, na swój wysoce egoistyczny sposób, przywiązany jest do żony bardzo głęboko i Berta poczyna zdawać sobie z tego sprawę i godzić się powoli z doznanym zawodem. Poczyna uświadamiać sobie dodatnie strony spokojnej przystani małżeńskiej.

Trudno powiedzieć, ażeby nawet główne postacie przeprowadzone były od początku do końca całkiem logicznie. Nie brak w nich niekonsekwencji, zwłaszcza w tomie pierwszym. Tom drugi stoi nierównie wyżej pod tym względem. Autor wykazał tu niepośledni dar obserwacji psychologicznej. Styl p. Chardonne'a jest jasny i prosty, djalog żywy.

Powieść jego nie jest objawieniem, za jakie ogłosili je pozbawieni poczucia miary zwolennicy autora, zwiastuje jednak wystąpienie na widownię szczerego talentu pisarskiego.

VARIA.

Z KLUBU MIESZCZAŃSKIEGO.

Na ostatniem zebraniu, w szeregu aktualnych kwestji, omawiano położenie gospodarcze Kaukazu i jego podatności do naszej ingerencji.

P. inż. Piekarski, który z Kaukazu powrócił niedawno, objaśnił, iż cztery republiki: Azerbejdżan, Gruzja, Armenja i Górska — są jedynie w nominalnej zależności od Sowietów — mało ucierpiały przez wojnę i z wyjątkiem nafty, reszta artykułów handlu, jak: ryby, bawełna, jedwab, miedź, mangan, cukier, drzewo palmowe i tytoń, produkują się nadal — sympatja dla polaków jest bardzo wielka — i stosunki handlowe bardzo łatwo można zadzierzgnąć, wobec tradycji pozostałej po Rylskich, Poznańskich i innych polskich inwestycjach.

Należy jednak śpieszyć z tą sprawą, gdyż niemcy, włosi, amerykanie, anglicy i szwedzi, już rozpoczęli ożywioną działalność i, zdaniem prelegenta, wpływy ich przemożne nie pozwolą na utwierdzenie na Kaukazie rosyjskiego stanu posiadania, gdyż, prócz miejscowego handlowego znaczenia, Kaukaz posiada i tranzytowe, jako droga najtańsza od nas przez Rumunję i Salacz, a z Zachodu przez Konstantynopol do Batumu i Tyflisu, a stamtąd do Baku, a dalej do Persji i do Rosji przez Astrachań i Wołgę.

Bardzo aktualny temat konferencji ilustrowany przez krajobrazy i wykresy statystyczne, tak zachęcił i zainteresował zebranych, że podczas dyskusji rzucono myśl zawiązania zrzeszenia dla zapoczątkowania handlowych stosunków z Kaukazem, a przedewszystkiem, upoważniono Zarząd Klubu odnieść się w tej mierze do przebywających u nas nie oficjalnych przedstawicieli Kaukazu.

Ay.

CZASOPISMA.

„PRZEGLĄD DYPLOMATYCZNY".

Ostatni zeszyt (Nr. 11—12) *„Przeglądu Dyplomatycznego"* zawiera następujące rozprawy: O organizacji służby dyplomatycznej w Polsce (E. Sobolewski). Szlakami propagandy (M. Szeser). O traktatach zawartych przez Rzeczpospolitą Polską. Konferencja w Portorose. Sprawozdanie Ligi Narodów.

TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.

Prenumerata „Tygodnia Polskiego" wynosi **kwartalnie 900 mk., miesięcznie 300 mk. za granicą podwójnie.** Cena pojedyńczego numeru **80 mk.**

Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 60 mk. — Strona ogłoszeniowa dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.

Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch", Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE" Redaktor: Leon Kozłowski.

Odbito na maszynie rotacyjnej drukarni „Praca", Kredytowa 2|4. Telefon 60-70.